CORAZ GŁĘBIEJ

LAURA LIPPMAN

MARGINESY

Ta powieść rozwala system.
Powinniście od razu zabrać się do czytania.

STEPHEN KING

CORAZ GŁĘBIEJ

LAURA LIPPMAN

PRZEŁOŻYŁ MARCIN WRÓBEL

MARGINESY

Pamięci Theo Lippmana Juniora, 1929–2014

Wilde Lake

COPYRIGHT © 2016 BY Laura Lippman

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Marcin Wróbel
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
WARSZAWA 2018

I

W wieku osiemnastu lat mój brat złamał rękę w wypadku, który zakończył się śmiercią innego chłopaka. Chciałabym powiedzieć, że pogrążyliśmy się w żalu, ale to nieprawda. Tamten nosił się z zamiarem mordu i faktycznie owej nocy spotkał się ze śmiercią. Czasem wszystko tak zabawnie się układa.

Działo się to nad jeziorem Wilde. Jego nazwa nie miała nic wspólnego z Oscarem, upamiętniała Frazara B. „Kogo?" – spytacie. Sama musiałam sprawdzić, a przecież tu się urodziłam. Frazar Bullar Wilde sprawował funkcję prezesa towarzystwa ubezpieczeniowego Connecticut General. Kiedy w latach sześćdziesiątych jeden z wiernych klientów Wilde'a, Jim Rouse, postanowił zbudować utopijne „nowoczesne miasteczko" pośrodku marylandzkich pól, między Baltimore a Waszyngtonem, Connecticut General udzieliło mu wsparcia finansowego i wyraziło zgodę, by skupował grunty potajemnie, działka po działce, co miało zapobiec wzrostowi cen. Rouse był prawym człowiekiem – pobożnym, skromnym, obojętnym na uroki bogactwa, a po pieniądze z firmowego konta sięgał ostrożnie. Ale historia jego najdonioślejszego dokonania, równościowego eksperymentu w miasteczku Columbia w stanie Maryland, zaczęła się od oszustwa.

Jak mówiłam, czasem wszystko tak zabawnie się układa.

W nagrodę Frazar został patronem jeziora. Oraz „osady" o tej samej nazwie, która rok później wyrosła nad jego brzegami. W otoczonym wałami, stworzonym pracą ludzkich rąk jeziorze Wilde

próżno by szukać choćby cienia sugerowanej w nazwie dzikości, nawet gdy na jego południowo-wschodnim krańcu zgromadziło się kilkuset uczniów świętujących zakończenie nauki w miejscowym liceum. Był 18 czerwca 1980 roku. Licealiści mieli po osiemnaście lat, jezioro istniało od czternastu, Columbia od trzynastu. Wszystko wyglądało dokładnie tak jak na każdej imprezie bez nadzoru dorosłych, ale przynajmniej tym razem nikt nie musiał sprzątać zaśmieconych, zarzyganych i zakrwawionych mieszkań. Świętowanie w plenerze należało do miejscowej tradycji, o ile takie młode, nieokrzesane przedmieścia mogły powoływać się na jakąkolwiek tradycję. Uczniowie najstarszych klas bawili się aż do rana. Świętowanie końca nauki mogło się dokonać w najróżniejszych miejscach, ale zawsze zaczynało się nad jeziorem.

Kiedy AJ oznajmił, że zamierza uczestniczyć w tym dorocznym rytuale, nasz ojciec poczuł się rozdarty. Nie chciał, żeby jego syn wyszedł przed kolegami na dziwoląga, ale nienawidził tej, jak to nazywał, młodzieńczej skłonności do szwendania się bez celu i planu. To, że AJ był synem Andrew Jacksona Branta, prokuratora okręgowego z Howard County, nie ułatwiało sprawy. Gdyby przyłapano go pod wpływem alkoholu lub z papierosem, bez wątpienia zrobiłby się spory szum, chociaż pewnie mniejszy niż dziś, gdy takie zachowanie grozi natychmiastowym wydaleniem ze szkoły i długą listą sankcji mogących zrujnować życie. W tamtych czasach gliniarze tylko poświeciliby dzieciakom latarkami po oczach, zabrali alkohol i odesłali wszystkich do domów, upewniając się, że nikt nie siądzie za kółkiem. Nic wielkiego, bzdura, żenada. Ale tak właśnie wyglądały największe obawy naszego ojca względem jedynego syna w czerwcu 1980 roku.

Tata był jednak sprawiedliwym człowiekiem, zawsze otwartym na możliwość dyskusji, i zachęcał nas do uzasadniania każdej prośby: gdy chcieliśmy później położyć się spać, pożyczyć samochód lub namówić go do zainstalowania telefonów w naszych pokojach. AJ porozmawiał z nim więc na kilka dni przed imprezą i powiedział – wręcz oznajmił – że z całą ekipą planują balować do rana, a potem przeniosą się do jego kumpla Basha, którego rodzina odnowiła właśnie dom w okolicy uchodzącej w tamtych czasach za „wieś". Co więcej, AJ poinformował ojca, że Ariel, jedna z dwóch dziewczyn, które się z nimi wybierały – i to ta rozsądniejsza – zgodziła się nie pić tego wieczoru i zostać ich kierowcą.

– Skończyłem osiemnaście lat – rozpoczął przemowę AJ, jakby zwracał się do niewidzialnej ławy przysięgłych. – Urodziłem się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku.

– Wiem – przerwał mu z przekąsem tata. – Byłem przy tym.

Towarzyszyłam im w salonie. Udawałam zaczytanie w miejscowej gazecie „Light", ale wszystko słyszałam. Byłam o osiem lat młodsza od brata, więc musiałam jeszcze sporo się nauczyć w kwestii zdobywania przywilejów. Od ukończenia szkoły dzieliły mnie dwie pełne kadencje prezydenckie – w naszym rozpolitykowanym domu wybory traktowano jak stały punkt odniesienia – ale chciałam wiedzieć, co mnie czeka, gdybym zamierzała tego dnia robić coś fajnego.

– Zgodnie z prawem mogę pić wino oraz piwo, ale szczerze mówiąc, będę też pewnie próbował innych rzeczy, zależy, co kto przyniesie. Uważam to za sprawiedliwe, bo gdybyśmy mieszkali na przykład w Wisconsin, to po ukończeniu osiemnastego roku życia mógłbym spożywać wszystkie rodzaje alkoholu.

– Ale ja pilnuję prawa w tym stanie – przypomniał tato.

– Zabraniasz mi wyjść?

– Nie, idź. Zostań do rana. Ale nalegam, żebyś przestrzegał prawa. Ufam, że zachowasz rozsądek w każdej sytuacji. Wiesz, że nie możesz liczyć na specjalne traktowanie w razie kłopotów.

– Nigdy nie sprawiałem kłopotów – zripostował AJ.

Tamtej nocy udało mu się przestrzegać prawa, choć nie do końca była to jego zasługa. Większość czasu spędził na ostrym dyżurze w szpitalu w Howard County, gdzie poddano go badaniu krwi na zawartość alkoholu i narkotyków. Personel medyczny najbardziej martwił się wtedy PCP. Biorąc pod uwagę, co zrobił AJ, lekarze musieli uznać, że dysponował nadludzką siłą. W rzeczywistości nim to wszystko się zaczęło, wypił zaledwie łyk piwa.

Wieczór zainaugurowano w auli liceum Wilde Lake. Szkoła wypuszczała trzystu absolwentów, więc każdy z uczniów dostał tylko dwa zaproszenia, przez co w wielu domach wynikł poważny problem, ale nas było tylko dwoje: tata i ja. A ja chętnie bym sobie odpuściła. Zasnęłam w trakcie uroczystości chyba trzy razy. Główny mówca rozpoczął od stwierdzenia, że nikt nie będzie pamiętał, kto wygłosił przemowę na zakończenie roku, i musiałam przyznać mu rację. Żartował, że obecni absolwenci sławę zyskali już dawno temu – w pierwszym roku nauki trafili na okładkę magazynu „Life" jako przyszli studenci z rocznika 1984. AJ i jego przyjaciele stali w środku pierwszego rzędu. Później zaczęło się wyczytywanie nazwisk, a rodzice, którzy zupełnie ignorowali zakaz klaskania i wiwatowania, przeciągali wszystko w nieskończoność. AJ zebrał największe oklaski, choć nie od nas, bo my trzymaliśmy się reguł.

Po wszystkim poszliśmy pogratulować mojemu bratu i zabraliśmy do domu jego togę oraz biret. AJ pojechał ze znajomymi, radykalnie zróżnicowaną grupą złożoną z dziewczyn, chłopaków, czarnych, białych, Azjatów, mięśniaków i wielbicieli teatru. Mój brat był najważniejszym spoiwem tej ekipy: zdolnym sportowcem, utalentowanym aktorem i piosenkarzem, wybitnym uczniem. Davey i Bash też odnosili sukcesy w sporcie, pierwszym z nich interesowali się nawet łowcy bejsbolowych talentów, ale chciał najpierw skończyć studia. Lynne bez trudu mogła się

załapać do olimpijskiej kadry gimnastyczek, ale z lenistwa wolała robić za gwiazdę w szkolnej drużynie cheerleaderek. Ariel i Noel obsadzali najlepsze role w szkolnych przedstawieniach. Nie zawsze główne, częściej takie, które pozwalały im się popisywać i utkwić w pamięci widzów. AJ chciał studiować w Yale, Alma Mater naszego ojca. Davey zdobył stypendium do Stanford, Noel i Ariel wybierali się do Northwestern w Illinois. Lynne zdecydowała się na Penn State, a Bash zaskoczył wszystkich, zdobywając stypendium z programu National Merit*, które wykorzystał, by zapisać się na studia w San Antonio, na Uniwersytecie Trinity, gdzie nie zamierzał uprawiać żadnych sportów. Wszyscy mieli co świętować. Zadowoleni z sukcesów otworzyli piwo i wznieśli pierwsze toasty.

– Życie to bankiet – zanuciła Ariel cytat z musicalu *Mame*. Wystawiali go w szkole. (Nie grała w nim Mame, tylko Agnes Gooch, która ukradła spektakl głównej bohaterce). – A większość biednych gnojków...

Wtedy na parking wjechali bracia Flood.

– Wszystko wydarzyło się błyskawicznie – powtarzał AJ za każdym razem, gdy musiał opowiadać tę historię.

Tego lata opowiadał ją wiele razy. Ani on, ani jego przyjaciele nie uważali Floodów za groźnych, bracia po prostu nie pasowali do reszty uczniów. Słynęli z bójek, ale nie wzbudzali strachu. Tylko ich ojciec wywoływał lęk. Wyglądem nie różnili się od imprezujących uczniów i byli od nich niewiele starsi. W roboczych butach, lewisach i niebieskich dżinsowych koszulach mogli uchodzić za część cichej grupki licealnych wielbicieli skrętów. Tyle że Floodowie tak naprawdę zdrowo rozrabiali i ani jeden z siedmiu

* Pozarządowa organizacja non profit oferująca pomoc stypendialną dla utalentowanych uczniów. Istnieje od 1955 roku. Wszystkie przypisy pochodzą od polskiej redakcji.

braci nie odebrał świadectwa ukończenia nauki. Każdy wylatywał ze szkoły po ukończeniu szesnastego roku życia.

Tych dwóch, najmłodszych, wysiadło z poobijanego auta, spojrzało z pogardą na licealistów, a potem skupiło się na Daveyu – łatwo go było wypatrzyć: ponad dwa metry wzrostu i najczarniejsza skóra, jaką w życiu widziałam. Tej wiosny grał El Gallo w *The Fantasticks*, musicalu wystawionym w międzynarodowej obsadzie. Niektórzy dziwili się, że wygryzł z tej roli AJ-a, ale mój brat już przywykł, że z nim przegrywa. Nawet przed rozpoczęciem prób twierdził, że to lepszy, bardziej oryginalny wybór. Davey promieniował aurą tajemniczości, a jego ochrypły tenor zmuszał do słuchania, jakby powierzał ci jakieś sekrety.

– Mamy go – rzucił jeden z Floodów.

Trudno było ich odróżnić, dzielił ich tylko rok. Tom i Ben. Pamiętam moje zaskoczenie, gdy się dowiedziałam, że to prawdziwe imiona, a nie skróty od Thomasa i Benjamina. Zeznając rok później przed sądem we własnej sprawie, Tom podał takie właśnie imię. Tom Flood. Po prostu Tom, bez drugiego imienia. Najmłodsi z braci. Może rodzice nie mieli już pomysłu na kolejne imiona, przynajmniej dla chłopaków. Za to ich siostrę, najmłodszą z rodzeństwa, obdarowali szczodrze: Juanita Cordelia Flood. Nie świętowała ukończenia nauki w Wilde Lake, ponieważ w połowie semestru przeniosła się do Centennial.

– To za Nitę – powiedział Flood i wbił nóż w plecy Daveya.

AJ z początku myślał, że jego kolegę ktoś popchnął. Davey tylko trochę się skrzywił i lekko zachwiał na nogach, nim z zaskoczonym wyrazem twarzy osunął się na ziemię. Dopiero kiedy rozlała się pod nim ciemna plama i ubrudziła lawendową koszulkę, do ludzi dotarło, że stało się coś złego. Brat, który zaatakował Daveya – to musiał być Ben, jasne, że to był Ben, ale w tamtej chwili, w ciemnościach, nikt nikogo nie rozpoznawał, nikt nikogo

nie widział – ponownie uniósł nóż. Wtedy AJ rzucił się na niego, zupełnie nie dbając o własne bezpieczeństwo. Przez chwilę obaj tarzali się po ziemi, a kiedy starszy chłopak – właściwie mężczyzna, dwudziestoletni – zerwał się na nogi i uciekł, AJ natychmiast ruszył w pogoń. Zniknęli w pogrążonym w ciemnościach zagajniku nad brzegiem jeziora.

Determinacja mojego brata pobudziła Basha do działania. Z wściekłym bojowym wrzaskiem skoczył na drugiego z Floodów i bez wysiłku powalił go na ziemię. Wokół nich rozpętał się chaos, wszyscy rozpierzchli się z krzykiem w różne strony, ale większość nie orientowała się, o co właściwie chodziło. Nad jeziorem balangowali uczestnicy wielu mniejszych imprez, grupki trzymały się osobno. Pary krążyły po okolicy, szukając odosobnienia. Inni palili lub popijali w samochodach i różnych zakamarkach. Jezioro nie jest duże. Mieszkaliśmy po drugiej stronie, na tyle blisko, że moglibyśmy trzymać łódź na przystani, gdyby tata należał do ludzi kupujących łodzie. Przy otwartym oknie mogłabym usłyszeć krzyki i późniejszy jazgot syren. Ale było ciepło jak na czerwiec, więc działał nasz hałaśliwy i nieskuteczny klimatyzator, umocowany przy okiennej framudze.

Rok 1980. Istniał już numer alarmowy, ale jeszcze nie wymyślono komórek. W pobliżu nie ustawiono żadnej budki telefonicznej, a nawet jeśli, to roztrzęsione dzieciaki nie pamiętałyby, gdzie ją znaleźć. Noel zabrał kluczyki Ariel i pojechał do kina. Wydedukował, że może być wciąż otwarte i znajdzie tam kogoś, kto zadzwoni po pogotowie. Ta decyzja ocaliła życie Daveya w co najmniej takim samym stopniu jak reakcja AJ-a. Ale to mój brat, gdy już wynurzył się z zagajnika w zakrwawionym ubraniu i trzymając się za lewą rękę, zgarnął wszystkie pochwały.

—

Następnego dnia nagłówek w „Light" głosił: SYN PROKURATORA OKRĘGOWEGO RATUJE KOLEGĘ PRZED BRUTALNĄ ZEMSTĄ.

Można więc stwierdzić, że mój brat jednak narobił szumu tej nocy.

Braciom Flood należały się punkty za cierpliwość: minęło siedem miesięcy od chwili, gdy siostra wyznała im, że Davey ją zgwałcił. Kłamstwo miało krótkie nogi, szybko odkryto, że to wredne pomówienie rozpuszczane przez zawistną dziewczynę. Biorąc pod uwagę, że oboje – oskarżająca i fałszywie oskarżony – byli niepełnoletni, mój ojciec starał się zachować dyskrecję. „Dla ich dobra" – tłumaczył. Ale ukrywanie faktów przed prasą to jedno; trudniej je ukryć przed rozplotkowanymi nastolatkami. Szybko się rozeszło, że smutna dziewczyna o dziobatej twarzy próbowała zniszczyć Daveyowi życie. Czy bracia polowali tej nocy również na AJ-a? Tom, oskarżony o współudział w próbie zabójstwa, twierdził uparcie, że nie. Ben nie dożył chwili, w której mógłby coś powiedzieć. Kiedy AJ rzucił się na niego po raz drugi, w zagajniku, chłopak nadział się na własny nóż i wbił go sobie prosto w serce. Mój zapłakany brat zaprowadził ratowników z karetki na miejsce zdarzenia, ale nie zdołali już ocalić Bena Flooda.

Po unieważnionym procesie Tom przyznał się do zarzutów i odsiedział tylko cztery lata. Co do AJ-a – ojciec nalegał, aby do wyboru ławy przysięgłych wezwano prokuratora nadzwyczajnego, i poprosił prokuratora z sąsiedniego okręgu o nadzorowanie rozprawy. Tak jak uprzedził, AJ nie mógł liczyć na specjalne traktowanie. Ława uznała, że mój brat działał w samoobronie, i we wrześniu wyjechał do Yale, uszczęśliwiony powrotem do anonimowości, tym większej, że w jego grupie znalazł się gwiazdor filmowy, który niecałe pół roku później został aresztowany za próbę zamachu na prezydenta. W tamtych czasach wierzono, że milczenie pomaga zapomnieć o traumatycznych przeżyciach.

Nigdy więc nie rozmawialiśmy o tamtej nocy i zakładam, że jego przyjaciele również nie poruszali tematu, a przynajmniej starali się go unikać. Niektórym zapewne przychodziło to z trudem, ale z tego, co wiem, nie wspominano o tym ani słowem – ani w rozmowach AJ-a z ojcem, ani w rozmowach mojego brata z przyjaciółmi, a już na pewno nikt nie omawiał tej sprawy ze mną. Cała moja wiedza o tych wydarzeniach pochodzi głównie ze starych akt sądowych i dziennikarskich relacji publikowanych w czasie procesu.

Pamiętam, że czasem w zimne poranki AJ skarżył się na ból w łokciu.

– Patrz, Lu, dynia znów pokryła się szronem. – Wystawiał w moim kierunku gruzłowaty łokieć, który pod pewnym kątem faktycznie przypominał odbarwioną dynię. A jeśli się wiedziało, na co patrzeć, dało się zauważyć, że jego lewe ramię było krzywe. By zwalczyć ból i zesztywnienie, zapisał się nawet na jogę. Ale większość ludzi tego nie zauważała, a ja z czasem o tym zapomniałam. Jeśli ktoś jednak wiedział, gdzie spojrzeć, dostrzegał przekrzywione ramię mojego brata.

5 stycznia 2015

– Bez urazy? – upewnia się Luisa Brant.

– Najmniejszej – potwierdza Fred Hollister. „Mów mi Fred", zawsze na to nalegał, ale plakietka, którą musiał nosić przez ten weekend, identyfikowała go jako Fredericka C. Hollistera III.

Lu zakłada, że szef ją okłamuje, ale tym razem zapisuje mu to na plus. Kłamstwa mogą być miłe, a w tym wyczuła więcej charakteru niż w „niepolukrowanej prawdzie" głoszonej przez Freda od jesieni. Jego słowa znaczyły, że ma nadzieję nie zachować żadnej urazy i pewnego dnia wybaczy jej odebranie mu posady. W przeciwnym razie po co by w ogóle tu zaglądał? Gdyby naprawdę się wściekał, w życiu by się nie pokazał. Polityka w stanie Maryland obfitowała w historie o zwolnionych prokuratorach stanowych, którzy czyścili komputerowe archiwa lub namawiali swoich zastępców do sabotowania działań nowego szefostwa. A Fred od dnia wyborów zachowywał się z klasą.

– Wybieram się z rodziną na kolację do Iron Bridge – sugeruje mu Lu. – Może wpadniesz i się z nami napijesz?

– Z twoją rodziną?

– Z ojcem i dziećmi. AJ znów wyjechał z miasta.

Fred przez chwilę udaje, że namyśla się nad jej propozycją.

– Miło by było, gdybyś wpadł – naciska go.

– I dobrze by wyglądało – zauważa Fred.

– To też.

Spogląda na nią ze szczerym, odrobinę smętnym uśmiechem.

– Wkrótce wzniesiemy toast, Lu – obiecuje.

– Tata naprawdę by się ucieszył. Ma o tobie jak najlepsze zdanie.

I to po tych wszystkich okropnych insynuacjach, do jakich posunąłeś się pod adresem jego córki – dodaje w myślach.

– Z radością bym się z nim zobaczył. Ale dziś nie mogę. Cieszy mnie twój sukces, ale ten wieczór zarezerwowałem na własne smutki.

– Daj spokój, na pewno nie możesz się opędzić od propozycji. Wiem, że od listopada próbowały cię zatrudnić co najmniej dwie firmy i że poluje na ciebie pewien znany lobbysta z Annapolis.

– Nie martwię się szukaniem pracy – przyznaje Fred. – Ale teraz potrzebuję odpoczynku, czasu dla mojej rodziny.

Dopiero po chwili Lu uświadomiła sobie, że celowo rzucił ten oklepany żarcik, więc zaśmiała się może nieco zbyt głośno. W głębi serca Fred był porządnym facetem i jej przyjacielem. Zaczynała razem z nim w biurze prokuratora stanowego w Baltimore i szczerze się ucieszyła, kiedy przeniósł ją tutaj i umożliwił grę w pierwszej lidze. Pięć lat temu, gdy wylądowała na dnie, namówił ją na przyjazd do Howard County i pracę w jego biurze, obiecując elastyczne godziny zatrudnienia, prawdziwą rzadkość w życiu prokuratora. Okazał się również świetnym prokuratorem okręgowym, zaangażowanym i sumiennym, doskonałym szefem. Ale w czasie drugiej kadencji coś się z nim stało. Coraz rzadziej prowadził procesy. Pogrzebał sprawę przeciwko seryjnemu gwałcicielowi, zaczął bać się broni i brał tylko pewniaki. On tu rządził, nikt nie miałby mu za złe, gdyby prowadził tylko prestiżowe sprawy. Ale jego upór, żeby jak najrzadziej pojawiać się w sądzie, choć doprowadzał Lu do wściekłości, pozwolił jej rozkwitnąć zawodowo. Fred zupełnie stracił zapał do prowadze-

nia spraw. Gdyby którykolwiek z jego zastępców tak podchodził do pracy, z miejsca by go zwolnił.

Mimo to wahała się z decyzją o zgłoszeniu własnej kandydatury. W końcu, jak zawsze w trudnych sytuacjach, poszła po radę do ojca.

– A co byś zrobiła, gdyby to nie był twój przyjaciel?

– To proste. Kandydowałabym.

– Więc powstrzymuje cię tylko hipokryzja, prawda? Skoro myślisz, że Fred odwala fuszerkę, ale nie chcesz kandydować przeciwko niemu, to znaczy, że wasza przyjaźń jest dla ciebie ważniejsza niż przestępstwa, do których dochodzi każdego dnia w tym okręgu. Pamiętasz, co ci zawsze powtarzałem? Prokurator okręgowy jest reprezentantem całej społeczności. Masz zobowiązania przede wszystkim wobec mieszkańców Howard County. Co jest dla nich najlepsze?

W ustach ojca wszystko zawsze brzmiało tak prosto. A jej brat całkowicie się z nim zgadzał.

– Też lubię Freda, Lu. Mogłaś na niego liczyć, gdy tego najbardziej potrzebowałaś. Ale od kilku lat ma złą passę, traci sprawę za sprawą z powodu błędów popełnionych przez jego biuro. Dziwię się, że tak niewielu ludzi chciałoby się go pozbyć. Pewnie jakaś dżentelmeńska umowa wśród szych w Partii Republikańskiej.

– Wiesz, że żaden ze mnie dżentelmen.

AJ-a rozśmieszyło to spostrzeżenie.

– Nie, ale kiedyś tak się ubierałaś. Pamiętasz te ciuchy, które nosiłaś, gdy...

Pogroziła mu żartobliwie pięścią i natychmiast porzucił temat. Choć minęło prawie czterdzieści lat, rumieniła się na samo wspomnienie tej upokarzającej sytuacji.

Kandydowanie przeciwko własnemu szefowi to trudna sprawa, począwszy od tego, że musiała złożyć wymówienie. Po zgłoszeniu kandydatury na najwyższe stanowisko nie mogła już pełnić funkcji zastępcy prokuratora. Przez rok pracowała w sennej kancelarii swojego ojca, prywatnej jedynie z nazwy, i poświęcała czas na prowadzenie licznych spraw pro bono. W partyjnych prawyborach demokraci nie wystawili jej żadnego kontrkandydata, natomiast Fred musiał się zmierzyć z charyzmatycznym adwokatem. Bezwzględna walka mocno go wykrwawiła i osłabiła, ale miał całe lato na zebranie sił i odzyskanie stanowiska, a to był dobry rok dla republikanów w Maryland. Zebrał pięć razy więcej funduszy niż ona i zaatakował ją reklamami.

Ale żadne pieniądze na świecie nie mogły zapewnić tego, co nazwisko Brant.

A teraz Louisa F. Brant została pierwszą prokuratorką okręgową w Howard County w stanie Maryland. Trzysta tysięcy mieszkańców, mniej więcej czterysta kilometrów kwadratowych, jeden z najbogatszych okręgów w stanie i całym kraju. Urodziła się tutaj, w Columbii, i należała do pierwszego pokolenia miejscowych dzieciaków, które sięgnęły po władzę. W czasie kampanii pojawiły się głosy krytyki, że zbyt mocno polega na pochodzeniu i byciu córką szacownej osobistości, ale jeśli opozycji nie stać na nic więcej, to Lu mogła otwierać szampana. Później Fred uderzył poniżej pasa i wciągnął w to jej dzieci, ale zagrywka skończyła się dla niego tragicznie. Ostatecznie okazało się, że ojciec miał rację: nie zawahałaby się kandydować, gdyby Fred nie był jej przyjacielem. Siedzenie na tyłku i pozwalanie, by wciąż się obijał, śmierdziało prawdziwą hipokryzją.

– Znajdziesz chwilę przed spotkaniem zespołu?

Andi Gleason, kiedyś współpracowniczka, aktualnie zastępczyni, nie czekając na odpowiedź, wpakowała się do gabinetu. Czy Lu będzie musiała mówić ludziom, żeby zaczęli pukać, przypominać swoim byłym współpracownikom, że jest tu sze-

fem? Czy to w ogóle ma znaczenie? Powinni pukać? Czy jakiś facet przejmowałby się tym, czy pukają albo że musi ich o to prosić?

– Pewnie.

Andi siada za biurkiem i opiera nogi o pusty blat. Widząc wyraz twarzy Lu, wybucha śmiechem i opuszcza stopy na podłogę. Jej długie nogi były zawsze opalone i z jakiegoś powodu nigdy nie nosiła rajstop, nawet w tak zimne dni jak ten. Wyczytała gdzieś, że tak właśnie robią mieszkanki Nowego Jorku, chodzą z gołymi nogami, nie zważając na pogodę. Lu, która preferowała czarne rajstopy i buty na możliwie najwyższych obcasach, z trudem opanowywała dreszcze na widok nagiej skóry.

– Tylko cię sprawdzam – wyjaśnia Andi.

Lu wolałaby, żeby najlepsza przyjaciółka okazała jej lojalność i wsparcie, zamiast poddawać testom. Oczywiście jako jedyna w biurze nie odcięła się od Lu, gdy ta ogłosiła swoją kandydaturę na stanowisko zajmowane przez Freda, nie dało się jednak nie zauważyć, że częściej spotykały się w mieszkaniu Andi niż publicznie. Wykazywała się wielką odwagą w sądzie, ale w biurze zachowywała ostrożność. Lepiej tak niż odwrotnie.

– Co tam?

– Powinnam o czymś wiedzieć przed spotkaniem o jedenastej?

– Nic ważnego. Na razie. Chcę się lepiej przyjrzeć jednemu czy dwóm zastępcom...

– Johnowi i...?

Lu ignoruje pytanie. Nie może sobie pozwolić na przyjacielskie plotki i potwierdzenie jej przeczuć, jak wtedy, gdy pracowały na tych samych stanowiskach. Koniec rozmów o innych pracownikach z Andi.

– ...ale ty zawsze świetnie pracowałaś, więc nie widzę powodu, by coś miało się zmienić.

– W dwa tysiące czternastym roku prowadziłam wszystkie sprawy o zabójstwo, jakie trafiły do sądu – przypomina Andi.

– Wszystkie dwie. – Lu pamięta statystyki, choć nie pracowała wtedy w prokuraturze.

– Tak. A ile takich spraw chciałabyś wziąć dla siebie? Ustaliłaś jakiś przydział?

– Wolałabym to omówić na spotkaniu zespołu.

– To znaczy, że chcesz prowadzić wszystkie. – Ton głosu Andi zdradza, że pogodziła się już z koniecznością rezygnacji ze wszystkich spraw o zabójstwo. Ale jeśli dowie się o tym przed spotkaniem, tylko skinie głową, a brak zaskoczenia pozwoli jej zachować twarz przed kolegami.

– Tak, jeśli będą interesujące – odpowiada Lu.

– Czyli przyciągną prasę.

Tak, to zdecydowanie test. Andi próbuje sprawdzić, do jakiego stopnia mogą być szczere, gdzie aktualnie znajdują się granice ich przyjaźni. Lu nie obawia się szczerości, ale wierzy, że istnieje przepaść między prawdomównością a bezczelnością.

– Media raczej nie interesują się tym samym co ja – wyjaśnia ostrożnie. – Chodzi mi raczej o sprawy, które zaintrygują mnie od strony prawnej, pobudzą do myślenia. Nie szukam popularności.

Andi nie wygląda na przekonaną. Właściwie słusznie, bo Lu wciska jej kit. Prokuratorzy lubią popularność. A Lu uwielbia się popisywać.

– Na pewno nie zabraknie nam pracy – obiecuje przełożona. Nie może, oczywiście, zagwarantować, że łagodni z natury obywatele Howard County zaczną nagle zabijać się w przyspieszonym tempie, ale są przecież inne przestępstwa, równie istotne. W okręgu działały nawet gangi, choć większością takich spraw zajmowali się federalni. – Przy okazji mogę ci zdradzić, że zmieni się regulamin. Od tej pory ktoś z naszego biura będzie obecny

na miejscu każdego większego przestępstwa. Rozmawiałam dziś z Biernem z wydziału zabójstw, żeby informowali nas natychmiast, gdy trafi im się coś ciekawego.

– Chcesz wysyłać ludzi, żeby sprawdzali, czy to sprawa dla ciebie?

– Nie, mnie to również dotyczy. Jeśli podsuną nam coś, z czym będę chciała iść do sądu, na pewno się pojawię. Fred był zbyt zachowawczy. A parę nieudolnie prowadzonych śledztw skomplikowało nam robotę. Lepiej, żebyśmy trzymali rękę na pulsie od początku, no nie? – Uśmiecha się. – Tak oto dowiedziałaś się prawie wszystkiego, co zamierzam omówić na zebraniu.

– Udam zaskoczoną – obiecuje Andi.

Ale Lu dobrze ją zna i wie, że będzie na odwrót. Andi zależy na tym, by inni wiedzieli, że ma wyjątkowy dostęp do szefowej. Początkowo, gdy Lu dopiero zaczynała pracę, nowa koleżanka niepokoiła się jej zażyłością z Fredem. Pierwsze podchody Andi do nawiązania przyjaźni wynikały przede wszystkim z chęci trzymania rywalki na oku. Dopiero później zrozumiała, że Lu faktycznie jest świetną przyjaciółką. Lojalną i dyskretną. Niezwykle dyskretną.

– A teraz poprosiłabym cię o jakieś pół godziny, żebym mogła rozpakować parę rzeczy, dobra?

Przyglądając się odchodzącej Andi, Lu dostrzega zacieki na jej udach. Samoopalacz. Skoro dziewczyna upiera się przy całorocznej opaleniźnie, może powinna skorzystać z solarium.

– Miau – mruczy Lu pod nosem, kręcąc z uśmiechem głową. Szkoda marnować energię na złośliwostki. Nie ma potrzeby rywalizowania z innymi kobietami. Rywalizowała z każdym.

Rozgląda się po gabinecie, w którym przyjdzie jej urzędować kolejne cztery lata, a może dłużej. Jej ojciec spędził na tym stanowisku dwie kadencje. Nawet więcej, ponieważ otrzymał nominację, zanim zaczął się o nią ubiegać w 1978 roku. Nie był to oczywiście ten gabinet – bezbarwny, anonimowy, wyposażony w tanie meble, gdzie na ścianach wciąż widnieją ślady po obrazach zabranych przez Freda. Lu sięga do torebki, wyjmuje niewielkie zawiniątko i podchodzi do regału z książkami. W chusteczce kryje się figurka Sprawiedliwości, ślepej jak zawsze, ale wyglądającej niczym przyodziany w długą szatę szkielet. Pamiątka ze Święta Zmarłych, którą dostała od męża, gdy zaczynała pracę w prokuraturze Baltimore. Ciekawe, co Gabe by o tym wszystkim pomyślał. Na pewno byłby z niej dumny. Ale sprzedając założoną przez siebie firmę, która zarabiała na umożliwianiu dzielenia się plikami komputerowymi, a potem pracując jako konsultant, dorobił się takiej fortuny, że traktował pracę żony w sektorze publicznym jak coś w rodzaju hobby, zwłaszcza po narodzinach bliźniaków.

– Czemu pracujesz? – dopytywał.

– A jak mogłabym nie? Kocham prawo.

Nigdy nie odważyła się wyznać, że tak naprawdę macierzyństwo okropnie ją nudzi.

– Dobra, ale to od ciebie zależy, czy ci się uda. Wydaj, ile musisz, na kampanię i miejmy nadzieję, że przy dzisiejszych stanowych pensjach uda nam się kiedyś odzyskać tę kasę.

W tamtym czasie Gabe miał już drugą firmę i tyle pieniędzy, że ich wyśnione pałace mogły stać się rzeczywistością, wystarczyło wskazać miejsce. Na przykład zamek w Hiszpanii, jak w ich ukochanej piosence *My Romance*. Zastanawiali się nad kupnem lub budową drugiego domu. Nowa Szkocja. Albo Karolina Północna, gdzieś w okolicach Outer Banks. Lub zachodnie wybrzeże Irlandii, które wydawało się bardziej dostępne niż wyspy i przylądki Outer Banks, a Aer Lingus oferowało codzienne loty z lotniska Baltimore/Washington do Shannon. Cały świat rozciągał się u ich stóp. Gabe mówił, że mogliby się nawet przenieść w okolice

Galway, gdzie podawano ostrygi tak świeże, jakby wyłowiono je chwilę po złożeniu zamówienia.

A potem umarł. Atak serca w hotelu w San Jose. Trzydzieści dziewięć lat. Penelope i Justin nie skończyli jeszcze nawet trzech. Sprzedaż domu w Baltimore i powrót do ojca wydawały się sensownym rozwiązaniem – o ile cokolwiek ma sens w takiej sytuacji – ale Fred zaoferował jej pracę. Potrzebowała tego, nawet nie dla pieniędzy. Stała się niewyobrażalnie, niezrozumiale wręcz bogata. Za życia Gabe'a podejrzewała, że są zamożni, ale tak naprawdę nie myślała o pieniądzach. W kompletnym otępieniu snuła się przez wiele dni jak zombie, i to na długo przed tym, nim znów stały się modne. Potrzebowała kontaktu z ojcem. Co więcej, potrzebowała Teensy, która pracowała dla jej rodziny od narodzin AJ-a. Jeśli czegoś w życiu była w ogóle pewna, to tego, że Teensy, choć już sporo po siedemdziesiątce, zadba o jej dzieci równie dobrze, jak dbała o nią i brata. Szorstko, surowo, ale z pełnym oddaniem.

Nieco powątpiewała natomiast, czy jej zbliżający się do osiemdziesiątki ojciec zdoła się pogodzić z obecnością małych dzieci w domu. Ale to właśnie on nalegał, żeby całą trójką najechali jego spokojną, uporządkowaną rzeczywistość.

– Jeśli będą zbyt niesforne, zawsze mogę wyłączyć aparat słuchowy – twierdził.

Żartował. Wciąż sobie radził bez aparatu. Nie garbił się, nie miał kłopotów z pamięcią ani żadnych oznak starzenia poza siwizną we włosach. I jak zwykle potrafił sprawić, że wszystko wydawało się proste. Doskonale wiedział, że świat nie jest jednowymiarowy, ale wszystkie decyzje w kwestiach rodzinnych podejmował błyskawicznie i nieodwołalnie. Jego córka owdowiała w wieku czterdziestu lat. Potrzebowała rodziny. Musiała wrócić do domu. Zatoczyć pętlę.

A teraz zatoczyła kolejną i zajęła gabinet niegdyś należący do jej ojca. Nie dosłownie: budynek, w którym pracowała, postawiono kilka lat po odejściu ojca z posady. Ale została drugim członkiem rodziny Brantów na stanowisku prokuratora okręgowego i pierwszą kobietą wybraną w tym okręgu do pełnienia tej funkcji – chociaż oczywiście w historii stanu Maryland było ich więcej.

Lu prostuje się na całą wysokość, metr sześćdziesiąt pięć, z czego dziesięć centymetrów zawdzięcza dzisiejszym obcasom. Wszyscy się spodziewali, że w ślady ojca pójdzie jej brat, ale to ona miała dryg do prawa karnego i stalowe nerwy do polityki. W sali rozpraw niemal podskakiwała sądowi, a drobna postura i łobuzerski urok działały na jej korzyść. Inni prawnicy próbowali uwieść ławników. Obdarzona piegowatą buzią i dziewczęcym wyglądem Lu Brant robiła po prostu wielkie oczy i upraszczała wszystkie sprawy do kilku czarno-białych kontrastów. Dożywocie – dożywocie – ogólnie przegrała mniej niż dziesięć spraw, i to w Baltimore, gdzie ławników niezwykle trudno przekonać. W swoim okręgu nie przegrała nigdy.

I nie zamierzała tego zmieniać.

Louisa Brant, nowa prokuratorka okręgowa, ma ogromne ambicje. Kiedy dostaje kontrowersyjną sprawę i przygotowuje się do procesu, natrafia na wątki dotyczące własnej rodziny: oskarżonym jest dawny znajomy jej brata, AJ-a.

Kiedy Louisa miała dziesięć lat, AJ ocalił przyjaciela kosztem życia innego człowieka. Ława przysięgłych oczyściła wtedy osiemnastolatka z zarzutów. Ale czy na pewno wszystko w tej sprawie jest jasne?

Pogrążając się coraz głębiej w przeszłości, Louisa musi stawić czoło zaskakującym odkryciom. Prawo, które stanowiło do tej pory fundament jej życia, okazuje się zawodne i nie daje odpowiedzi na wszystkie pytania. Louisa po raz pierwszy uświadamia sobie, że być może wolałaby nie znać całej prawdy. I że czeka ją najtrudniejsza w życiu decyzja.

www.marginesy.com.pl

9 788365 973559

cena 37,90 zł

PATRONAT MEDIALNY

PORTAL KRYMINALNY

POCISK

ZBRODNIE KOBIETA

w sprzedaży także eBOOK